



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maria Zofia Wilkówna

Podążając za przeznaczeniem

Mój Ojciec, Antoni Wilk, urodził się w 1898 roku we wsi Mogielnica koło Rzeszowa, w bardzo biednej, katolickiej rodzinie, jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa. Dzieci nie miały specjalnego wykształcenia, bo rodziców nie było stać na szkołę, a w gospodarstwie potrzebna była pomoc. Jako legionista walczył o Polskę w I wojnie światowej. Po roku 1920, kiedy zamierzał założyć rodzinę, otrzymał od rodziców z podziału tylko mały kawałek pola. Pojechał na Podole, do Zborowa. Tam u księdza proboszcza kupił kawałek pola i dopiero wtedy postanowił się ożenić. Po ślubie osiadł z żoną, Julią z domu Kaszuba, we wsi Futory. Moja mama pochodziła z biednej rodziny zamieszkałej w pobliskich Jarczowcach.

Ja urodziłam się 1 marca 1929 roku. Do szkoły w Jarczowcach zaczęłam chodzić, gdy miałam 8 lat. Już od najmłodszych lat pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Początkowo wszystko było pod jednym dachem, to znaczy mieszkanie, stodoła, stajnie. Kiedy rodzina się powiększała i było nas już pięcioro, ojciec stopniowo zaczął się rozbudowywać. Postawił oddzielną stodołę i stajnię i gromadził materiał na nowy dom. Budowy nie zdążył rozpocząć, bo gdy byłam w trzeciej klasie, w połowie roku szkolnego, wywieźli nas na Sybir. I tak to wszystko zostało... Jeszcze przed wywózką w tamtej parafii przyjęliśmy Pierwszą Komunię Świętą – ja, starsza siostra Kazia i młodsza Zosia. Braciszek Franuś, mając półtora roku zmarł na koklusz, a Krysia urodziła się nie więcej jak na pół roku przed wywózką.

Dobrze pamiętam ten dzień i nigdy go nie zapomnę. Był wczesny ranek, a właściwie jeszcze noc, 10 lutego 1940 roku. Tak chyba o godzinie szóstej rano we wsi zaczęło się ogromne poruszenie. Wszyscy zaskoczeni, wyrwani nagle ze snu, musieli opuścić swój dom. Po drodze przetaczało się mnóstwo pojazdów, a że była ona niedaleko od nas, więc wszystko wyraźnie słyszeliśmy. Ukraińcy weszli i do naszego mieszkania. Ojciec był bardzo poruszony, rozgniewany: „Jak to? Co to się dzieje?” Powiedzieli, żeby się zbierać, bo jedziemy na dwa tygodnie na urlop. Wszystko zostawić, a spakować tylko trochę niezbędnych rzeczy. Ojciec był ogromnie zdziwiony, zaskoczony: „Jak to na dwa tygodnie? To wszystko to jakieś szaleństwo!” Długo się opierał, mówił że nie, że wszyscy zostaniemy razem: „Pójdziemy pod ścianę, pod karabiny, a nie ruszymy się! Moje dzieci nie mają się w co ubrać”. Tego dnia była wielka kurzawa, panował ogromny mróz.

Ukraińcy nie dali sobie rady z nami, więc wyszli. Ale później przyłączyli się Ruscy. Ruscy byli delikatniejsi, przynieśli obuwie, wyciągali nas z łóżka, zaczęli nas ubierać, żeby tylko się ruszyć. Ojciec już do tego stopnia się upierał, że nie chciał się ruszać, nie chciał nic pakować. Wobec tego coraz delikatniej obchodzili się z nim, żeby brał wszystko, co tylko chce, żeby tylko się usunął. Zaczęli wynosić, co tylko chcieliśmy, na ich sanie, a później pozwolili ojcu zaprząć naszego konia i wsiedliśmy

całą rodziną na te sanki. U nas we wsi był zwyczaj, że każda gospodyni piekła w sobotę chleb na cały tydzień. A tutaj tak się złożyło, że wszystkie rodziny z naszej wsi, które wywieziono, zostawiły ciasto w dzieżach. Wszyscy byli bez chleba. Tylko moja Mama, dziwna rzecz, upiekła chleb w piątek i dzięki temu mieliśmy co jeść.

Ruscy pozwolili Ojcu zaprzęgnąć konia, wziąć sanie, byle tylko się ruszył. Cały czas popędzali nas. Mama pobrała tylko to, co naprędce się dało – jakieś pisemka, książki do nabożeństwa. W końcu opuściliśmy nasz dom. Po drodze do stacji Zborów była szkoła ukraińska, gdzie kazali wszystkim stanąć – niby na śniadanie. Śniadanie! Kto by tam pił i jadł po takim przeżyciu. Z powrotem spakowano ludzi na sanie i do Zborowa, jakieś sześć, siedem kilometrów. Wreszcie dojechaliśmy na stację. Byliśmy tam jako ostatni. Przed nami przywieźli już całą wieś. Po drodze Ojciec sobie tak myślał: będzie jechał ostatni, to może jakoś uda mu się uciec, bo tu kurzawa taka, nic nie widać. Rozglądał się na lewo, na prawo, ale po obu stronach jechały na koniach te zbiry, i tak poddał się Woli Bożej. I już więcej się nie bał.

W Zborowie był już dla nas przygotowany pociąg. Zapakowali nasze rzeczy do wagonów towarowych. Ojciec nie wiedział, co zrobić z tym koniem i sankami, którymi przyjechaliśmy. W końcu od kogoś z sąsiedztwa dostał za nie 30 rubli i tak zostawił. Zaraz jak tylko Ojciec wszedł do wagonu – bo tylko na niego czekali, gdyż wciąż się ociągał – zaryglowali drzwi i w drogę. Wszyscy przejęci grozą, że wiozą nas na stracenie, modlitwą i błaganiami o miłosierdzie zdali się na Bożą wolę. Tylko w tej nieustannej modlitwie znajdowali ukojenie i dziękowali za każdą chwilę życia.

Wieźli nas tak przez dwa tygodnie nie zajrzawszy, co się dzieje. A tu ani wody, ani niczego. Czternaście rodzin w wagonie bydłowym... Na środku wagonu w podłodze była tylko dziura, żeby w razie czego wylewać tam odchody. Po tygodniu otworzyli i zapytali czy chcemy wody. Oczywiście, że tak! Przecież to była najważniejsza rzecz dla życia człowieka. Pociąg zatrzymał się. Każdy czym tylko miał nabierał wody. Jak się zaczerpnęło, to trzeba było coś zrobić, żeby ta woda się nie rozchlapała.

Potem wieźli nas przez kolejny tydzień, znowu bez przerwy, bez zaglądania do wagonu, i tak nas przywieźli gdzieś koło Świerdłowska. Pociąg postawili w Świerdłowsku. Przyjechały samochody, na które zapakowali nasze bagaże. Nie wiedzieliśmy, co z nami dalej będzie. Najpierw zawieźli te wszystkie bagaże, a potem ludzi do miejscowości, która nazywała się Krasnoj Uralsk. Tam czekały na nas baraki – jeden dla Polaków, drugi dla Ukraińców. Między barakami była nieduża przestrzeń. Jeden od drugiego oddalony był może o jakieś 20-30 metrów. Dziwna rzecz, że Ukraińcy, którzy tacy byli mściwi w stosunku do Polaków w Polsce, na Podolu, też zostali wywiezieni na Syberię. Dlaczego ich wywieziono – nie mam pojęcia. Później okazało się, że i tu nam dokuczali. I tak na przykład – kiedy szliśmy po wodę, a trzeba było prawie kilometr iść i płacić 4 kopiejki, to Ukraińcy wsypywali nam piasek albo śmieci do naczyń. W czasie upału, kiedy w celu ugotowania czegoś kuchenkę trzeba było postawić na dworze na ceglach, Ukraińcy rozwalali je. Przy każdej okazji wyrządzali nam jakieś szkody.

Gdy ze stacji przywieziono nas do starych baraków, okazało się, że jest tam mnóstwo pluskiew. W nocy nie mogliśmy ani leżeć, ani spać, bo trzeba było wstawać i tłuc to robactwo. Na nasz przyjazd ściany były wybielone, nawet zapalili w piecach, żeby było ciepło w tym baraku. Była straszna zima, straszne mrozy. Do baraków było wejście z dwóch stron. Z każdej strony umieszczono po siedem rodzin.

Zaraz na początku naszego pobytu przysłała jakaś komisja i podzieliła wszystkich na kategorie. Starszych przydzielono do pracy do kopalni, średnie dzieci do szkoły, a najmłodszych do ochronki. No i wszystko trzeba było robić przymusowo. Nasz ojciec musiał pracować w nocy, Mama w dzień. Dzięki temu zawsze ktoś był z nami. Do szkoły chodziliśmy tylko przez dwa tygodnie. Okazało się, że polskie dzieci mówiły tam coś o Bogu, a tamci nie wierzyli. I wciąż nas zaczepiali, pytali jak On chodzi ubrany, a dlaczego my Go nie widzimy itd. Gdy powiedziałyśmy o tym Mamie, to stwierdziła, że więcej do tej szkoły nie pójdziemy, choćbyśmy mieli zapłacić karę. I nie puściła nas więcej, ale ja i tak nauczyłam się przez te dwa tygodnie czytać po rusku. Później nosiłyśmy Kryskę do ochronki. Wtedy było bardzo zimno, ale jak potem zrobiło się trochę cieplej, to chodziliśmy do lasu na grzyby, na jagody... i tak to było przez półtora roku.

Przez półtora roku byliśmy w tej miejscowości koło Świerdłowska. Rodzice nieraz dostawali w pracy pół litra zupy, którą brali w słoiczek i przynosili do domu dla dzieci. Mama dodawała do tego chleb lub coś innego. Później poszliśmy do takiej pracy przy obieraniu kartofli. Była też praca przy piłowaniu drzewa na opał lub wyrabianie mat ze słomy na skrzynie inspektowe. a te kartofle to dzieliliśmy na 4 gatunki. Trzeba było każdy dokładnie obejrzeć, żeby jakiejś skazy nie było. Ale jak tylko brygadier nie patrzył, to obgryzałyśmy łupiny, bo nie było noża. Gryzłyśmy te kartofle ile się tylko dało, bo nie wolno było wziąć. Czasem wyrzucałyśmy na dwór, a potem jak szliśmy z tej pracy do baraku, to je zbierałyśmy z ziemi. Były zmarznięte, ale Mama brała, myła, tarła na tarce, żeby jakąś zawieszistą zupę zrobić, żeby coś było. Mama miała kawałek ogródka przy baraku, w którym coś posadziła – jakieś kartofle, cebulki, jarzynki. Tak bardzo się o nas troszczyła. Bez przerwy była z nami albo Ona albo Ojciec. Przez cały dzień była modlitwa i śpiewanie bez przerwy, błaganie o powrót do ojczyzny. Głośno

odmawialiśmy różaniec. Rodzice wiedzieli, że to jest takie przygotowanie duchowe i w tym tylko jest jakiś ratunek.

Mój ojciec wcale nie był uczony, bo miał tylko cztery klasy. Był samoukiem, ale bardzo zdolnym. Jak tam w kopalni trzeba było jakąś pracę wykonać przez trzy dni, to Ojciec jakimś tam sposobem przez trzy godziny to zrobił. i wszyscy się ogromnie temu dziwili. Nie mogli uwierzyć, że to tak można. Ojciec był bardzo praktyczny, pracował bez zbędnych ceregieli. Wobec tego później chcieli go zatrzymać w tej kopalni. Ale nie było tam zbyt bezpiecznie. Ludzie wprawdzie nosili takie niby kauczukowe kaski, jednak w wykopanych korytarzach były tam mniejsze lub większe kamienne nawisy. Czasem spadało to komuś na głowę, a niekiedy zabijało ludzi. Ojcu kiedyś taki odłamek spadł na stopę, to później długo leżał i nie mógł chodzić. Mamie znowu raz spadło na głowę, a od uderzenia powstał guzek, który nie schodził przez całe miesiące.

Kiedyś przyjechało do ojca kierownictwo z tej kopalni i koniecznie chcieli poprawić naszej rodzinie byt, chcieli nawet dać samochód, ale pod warunkiem usunięcia ze ścian trzech obrazów, które zabraliśmy z domu. Były to – duży obraz Najświętszej Rodziny, obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego i jeszcze Matka Boża Częstochowska. Ojciec się nie zgodził, więc odjechali. Nie zgadzał się na to do samego końca. Tak było chyba do roku 1942.

Co jeść, żeby przeżyć? Takie pytanie często sobie zadawałyśmy. Blisko nas był cmentarz, na który często chodziliśmy. Ludzie często przychodzili tam do swoich zmarłych krewnych i znajomych i na grobach zostawiali jedzenie. W ten sposób dzielili się ze zmarłymi. A myśmy to potem zbierały. A nieraz, jak był tam jakiś pogrzeb, to nawet częstowali jakimś pierożkami czy czymś takim. Leciądo się na ten pogrzeb, bo to była dla nas okazja, aby coś zjeść. Baraki były niedaleko cmentarza, około kilometra, więc doskonale wiedziałyśmy, kiedy coś tam się dzieje i jest szansa na poczęstunek. Miejscowi częstowali każdego, kto był na takim pogrzebie, więc i nas – zawsze głodnych.

Kiedyś zapragnęłam dostać się za kraty, jak ci ludzie, którzy cierpią w tych więzieniach. Chciałam jeszcze więcej cierpieć za nawrócenie dusz, za które Pan Jezus nadal nie przestaje cierpieć, za dusze, które odkupił. Ale żeby się dostać za kraty do więzienia, trzeba było coś zbroić. Szukałam okazji, a i diabeł nie spał, ale na szczęście i Anioł Stróż też czuwał, żebym nie zabrnęła za daleko. Miałam wtedy 12 lat. Moja wiosenna praca się skończyła, byłam wolna. Mama posyłała mnie do takiego ich sklepu, około trzech kilometrów od baraku, po chleb na kartki. Tego było niewiele, a ja chciałam przynieść więcej. Jakoś niezauważona ściągałam z lady chleb do torby 1-2 bochenki, po 2 kilogramy. Chleb był czarny, ciężki, ale to nic. Przynosiłam go do domu nic nie mówiąc skąd go mam. a zapytana odpowiadałam wymijająco. Tak było przez jakiś czas. Mama nasuszyła na płycie na czarną godzinę, powiesiła w worku na ścianie, a ja wpadłam na pomysł, żeby nie rozwiązując worka zrobić dziurę przy ścianie i po kawałku wyciągałam, aby zaspokoić głód po kryjomu. Trwało to dosyć długo. Gdyby Pan Jezus nie wkroczył, nie wiem, na czym by się skończyło. Ale wtedy na szczęście ojcu udało się załatwić bilety i wyjechaliśmy ze Świerdłowska. Jednak pragnienie dostania się za kraty nie ustawało. Dopiero w roku 1954, jak wstąpiłam do Karmelu, zrozumiałam, do jakich krat mnie Pan Jezus zapraszał i ostatecznie wstąpiłam za kraty z miłości do Niego...

Podczas tego ciągłego głodu na zesłaniu ojciec dopytywał się, kombinował, żeby tylko uciec stamtąd. No i w końcu po prawie dwóch latach przy Boskiej pomocy opuściliśmy Krasnoj Uralsk. Ojciec wystarał się dla nas i jeszcze dla sześciu rodzin o bilety na Kaukaz. Nie pamiętam jak je zdobył, u kogo to załatwiał i kto mu pomagał. W tym czasie, pamiętam, byłam zawsze głodna i na dodatek ślepa z powodu kurzej ślepoty. Wszyscy tak byliśmy wycieńczeni, że chcieliśmy już jak najprędzej uciec z tej Syberii do ciepłego kraju. Nie było się w co ubrać, ani co jeść. To był początek 1942 roku. Ale uciekać musieliśmy ukradkiem, tak żeby tego nikt nie zauważył. To była zima, a do stacji było jakieś 3-4 kilometry. Musieliśmy to załatwić nocą. Ojciec zrobił z naszego łóża coś jakby sanki. W baraku były takie duże, żelazne łóżka dla sześciu osób, na których wszyscy razem spaliliśmy. Ja spałam w nogach rodziców, tak w poprzek, bo nie było się czym przykryć. Na te sanie zrobione z desek, na których się spało, opakowaliśmy nasze rzeczy, to znaczy pościel. A myśmy szły na końcu i musiałyśmy się trzymać sznura, żeby się nie pogubić z powodu kurzej ślepoty. I tak w nocy uciekliśmy. Kiedy dojechaliśmy do stacji, czekał już pociąg. Dowiedzieli się o nas pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) i zaraz się nami trochę zajęli.

Pociąg już zdążył ruszyć, kiedy w kopalni zauważyli, że nas nie ma w pracy. Jechaliśmy do Kaukazu, do ciepłych krajów. Wtedy pracownicy PUR dowiedzieli się, że w kopalni organizują za nami pościg. Na jakiejś stacji kazali nam wysiąść i ukryć się w jakimś pomieszczeniu, takiej jakby piwnicy. Powiedzieli, że nie możemy się na razie stamtąd ruszać. Dali nam trochę jedzenia i kazali czekać, aż pogoń przejedzie dalej. Dopiero wtedy załadowali nas znowu do pociągu i wyruszyliśmy dalej do Czkałowa. Było to bardzo daleko. Podróż trwała chyba całe miesiące. To była straszna rzecz. Ani się umyć, ani nic. Nie wiem, dlaczego tak długo jechaliśmy, może przez te długie przystanki... Nie przesiadaliśmy się z naszego wagonu, cały czas przebywając w tym samym. Gdy dojechaliśmy do Czkałowa, a było to w nocy, zobaczyliśmy, że rzeka Ural wylała. To było akurat na wiosnę, może w kwietniu. Wiatr z Uralu

się zerwał i ogromny wylew zalał miasto. Tylko tory kolejowe, położone wyżej, były jeszcze przejezdne. Reszta była zupełnie zalana. Wody naruszyły konstrukcję mostu i dalej nie można było jechać.

Abyśmy nie stali na środku tej stacji, to odstawili nasz wagon w jakieś miejsce, gdzie wszyscy wyrzucali śmieci. Były tam straszne wyziewy, i po jakimś czasie wszyscy starsi zachorowali na tyfus. Ktoś dał znać do szpitala. Przyszli, przebadali i wzięli chorych do szpitala w Czkałowie. Przeważnie byli to rodzice z tych 7 rodzin, bo dzieci okazały się odporniejsze. W szpitalu znaleźli się też moi rodzice. Mama po jakimś czasie wyleczyła się z tego tyfusu, ale kiedy obcinali jej włosy, to trochę podcięli ten guzek, który miała na głowie od czasu wypadku w kopalni. Lekarz – Żyd stwierdził, że to jest rak. Dał Mamie zastrzyk na raka o dziesiątej, a już o drugiej 30 kwietnia 1942 roku umarła... Miała 36 lat. Ojciec, mimo że był w tym samym szpitalu, początkowo nic nie wiedział o jej śmierci.

Od nas każdego dnia ktoś szedł do swojej rodziny, żeby się dowiedzieć o stan zdrowia. Niestety, śmiertelność była bardzo duża. Co jakiś czas ktoś umierał. W wagonach słychać było tylko płacz i jęk, bo była to albo czyjaś matka albo ojciec. Zostały prawie same sieroty. Nas, wszystkie dzieci, wzięli do łaźni do kąpieli, bo miałyśmy do tego wszystkiego jeszcze świerzb. Smarowali nas jakąś maścią. Całą odzież trzeba było odnieść do parowni.

Ojciec wrócił ze szpitala załamany, bo nie mógł sobie darować, że dotychczas nic nie wiedział o śmierci Mamy. Siostra też nic nie wiedziała i poszła tam odwiedzić ją, ale mama już leżała w kostnicy razem ze wszystkimi. I chyba tak ze wszystkimi była pochowana w jednym dole w tym Czkałowie. Ten lekarz – Żyd przyznał się potem, że to była jego wina.

Po powrocie Ojca ze szpitala jeszcze długo musieliśmy czekać, aż woda opadnie. Przez ten most wciąż nie dało się jechać dalej. W tej sytuacji Ojciec starał się dostać do jakiegoś kolchozu, żeby zapewnić nam dach nad głową i jakoś żyć. Posłał dwóch starszych chłopców do najbliższego kolchozu, żeby zapytali, czy nas przyjmą. To było około 25 kilometrów od Czkałowa. Dzieci były jeszcze za małe, aby je zatrudnić, więc Ojciec zrobił listę i pododawał każdemu po 5 lat. Tamtejszy brygadier po obejrzeniu listy zgodził się przyjąć ludzi do pracy. Przyjechali po nas i jakąś barką przepawiliśmy się na drugi brzeg rzeki. Potem jechaliśmy jeszcze kawał drogi.

Po przyjeździe do kolchozu umieszczono nas w pustej sali. Za chwilę przyszedł kierownik. Kiedy zobaczył, że przyjechały same dzieci, to zaczął krzyczeć na Ojca, wrzeszczeć, że powpisywał nieprawdziwe dane. Ojciec jak mógł tak go uspokajał. W końcu tamten zatelefonował do jakiegoś wójta w sąsiedniej wiosce i dopiero ten wójt jakoś go uspokoił. Potem okazało się, że w tym kolchozie z naszych dzieci mieli większą pomoc niż z tych ruskich, bo oni nie chcieli pracować. Byli leniwi. Nas brali do ogrodu, tak że mieliśmy coś do jedzenia, ale nic nie mogliśmy brać dla siebie.

Oni zgodzili się na tę naszą robotę, bo robotników nie było – poszli na wojnę. Ale Ojciec im tam to wszystko nadrabiał. On tam zrobił i młyn i żarna i pracował na motorze i w stolarstwie. Był nawet szewcem. Brał zlecenia od ruskich gospodyń, a myśmy to wykonywali i dostawaliśmy za to coś do jedzenia. Tamtejsi ludzie byli nawet życzliwi. Myśmy u nich też czasami chodziły do jakiej takiej roboty. Prosilili nas. Ojciec uczył tam nas wszystkiego – szycia, szewcowania i katechizmu. Bez przerwy zajmował się nami. Bez niego to byśmy w ogóle zapomniały o Bogu, ale on nam był wszystkim, a dzięki tej jego pracy i opiece nad nami dużo się nauczyłyśmy.

Po jakimś czasie inne polskie rodziny rozproszyły się, każdy sobie radził sam, jak mógł, jak umiał. Wyszukali sobie prace w innych miejscach, ale cały czas mieliśmy kontakt. Tyle że Ojciec nie musiał już się nimi bezpośrednio opiekować. Kiedy odzyskaliśmy wolność razem wracaliśmy do Polski.

Pewnego razu dali Ojcu w kolchozie zawiadomienie, żeby się zgłosił do wojska. Idąc na wezwanie wziął starszą siostrę ze sobą i przed komisją mówi tak: „Ja się nie uchylam. Pójdę do wojska, jeśli trzeba, ale weźcie te dzieci. One ledwo chodzą, takie są osłabione. Jak mnie weźmiecie do wojska, to ja tych dzieci już nie zobaczę...”. Ulitowali się i nie wzięli go do wojska. Dalej z nami pozostał. Ale dłużej już nie chciał być w tym kolchozie. Polacy mieli już więcej wolności i mogli sobie zmieniać pracę. Wtedy ojciec poszedł do innej roboty do sowchozu. W tym sowchozie remontowali różne maszyny rolnicze, traktory i inny sprzęt. Ojciec zrobił tam później cały warsztat. W ogóle wszystkim tam był. Ja też w tym sowchozie pracowałam w polu. Moje siostry nie pracowały, bo starsza zawsze była chorowita, a młodsze były jeszcze za małe. Od wioski do sowchozu było 15 kilometrów. Kiedy pojechaliśmy latem na tamto pole, to już tam stale nocowaliśmy. Dopiero po miesiącu przyjechałam do sowchozu, żeby uprać sobie ubranie. Potem znów jechałam w pole. Gdy przyjeżdżałam z pola do domu, to Ojciec pytał tych ruskich, jak tam docz, a oni mówili, że pięciu zastępuje. Kiedy jednak przyszła pora wypłaty, to okazało się, że musiał im dopłacić 54 ruble, bo powiedzieli, że przejadłam... Taki to był zarobek...

Praca była do jesieni, a jak przyszła zima, to Ojciec postarał się dla mnie o inną – na miejscu, w tym sowchozie. Polegała ona na paleniu w piecach w pomieszczeniach, gdzie remontowano traktory. Dali nam wtedy nowe mieszkanie, a właściwie też barak, gdzie mieszkało już kilka rodzin.

Wreszcie wojna się skończyła. Ojciec jakoś się dowiedział, że będą zwalniać Polaków, że będziemy mogli jechać do Polski. Ale nam nie chcieli żadną miarą dać zgody. Nawet słyszeć o tym nie chcieli. Puścili natomiast taką jedną ruską, córkę kolchoźnika, która wyszła za mąż za polskiego chłopca (była

nauczycielką). Spakowała się i wyjechała. Ojcu wiele obiecywali, żeby tylko pozostał, ale on chciał być u siebie w domu. Mówili, że w Polsce będzie tak samo jak u nich, jednak i to nie odnosiło skutku. Jak będzie to będzie – mówił ojciec – ale chcę jechać. Po długim czasie pozbieraliśmy się z innymi Polakami, zapakowaliśmy się do pociągu i wyruszyliśmy do Polski. w wagonach było tak ciasno, że nie można się było ruszać. Można było tylko leżeć na takich półkach. Jeżeli ktoś chciał coś zobaczyć, to przez małe okienko, na zmianę. Wagony były zamknięte. Na środku stał piecyk. Na długim postoju można było wyjść, ale trzeba było się pilnować, żeby nie zostać, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy przyjedzie lokomotywa. A wtedy natychmiast transport ruszał dalej.

Nasz pociąg liczył około 90 wagonów. Mówiono, że w tym transporcie jest tylko 10% Polaków, a reszta to głównie Żydzi. Na granicy w Medyce, gdy zrobili przegląd okazało się, że w polskich wagonach była straszna bieda, a w żydowskich wieziono mnóstwo złota. Chowali je przy sobie i w butach. Bali się, że im odbiorą. W Rosji Żydzi zajmowali się handlem. I tak na przykład z przydziału można było tanio dostać 40 deko cukru. Żydzi całymi rodzinami ustawiali się w kolejce, brali ile się należało i później sprzedawali ten cukier po wyższej cenie. Polacy pracowali rękami i nogami, a Żydzi głową. Mieli złoto, bo handlowali. w każdym razie tak słyszałam... a w tej Medyce odłączyli Żydów od reszty ludzi i gdzieś ich powieźli. Gdzie – tego nie wiem.

Jeszcze w 1943 roku Żydzi dowiedzieli się, że w Rosji ich prześladują i zabijają, więc chcieli się na ruskich zemścić. Taka Żydóweczka na przykład przychodziła do ruskiej niby kupić mleka. Prosiła, żeby jej kapnąć na rękę na spróbowanie i w tym czasie wsypywała do wiaderka jakiś proszek, od którego mleko zaczynało się burzyć. Ten sam proszek rozsypywali po polach na rżysko. a później dzieci z głodu zbierały te kłosa. w moździerzu się tłukło, żeby było na placki. w jednej rodzinie polskiej było dwanaścioro dzieci, które często chodziły zbierać kłosa. I wkrótce rodzice ich umarli i jeszcze dziewięcioro z rodzeństwa. Pozostałych troje nasz ojciec wziął pod opiekę i tak razem przeżyliśmy resztę czasu za zsyłce i razem wróciliśmy do Polski w nasze strony.

17 kwietnia 1946 roku, po kilku miesiącach podróży, dojechaliśmy do Medyki. Od pracowników PUR otrzymaliśmy karteczki i wyjaśniono nam, gdzie można dostać chleb, a gdzie zupę. Trzeba się było bardzo spieszyć, bo pociąg nie czekał na spóźnialskich. W wagonie nie słyszało się żadnych rozmów tylko modlitwę. Ta modlitwa dawała spokój. I tak wieźli nas aż do Szczecina, przez całą Polskę.

Na którejś stacji wszedł do wagonu polski żołnierz. Ojciec zaczął go wypytywać co i jak. A on poradził, że jeśli ktoś ma jakąś rodzinę w pobliżu, to niech lepiej wysiada, bo tam, gdzie was wiozą, jest nie do życia. Nawet mówił, że te tereny to po wysiedlonych Niemcach. Inni też dobrze radzili. Ojciec miał na szczęście ze sobą papiery, a w Boguchwale miał siostry i brata, więc bez zastanowienia udał się z powrotem do Rzeszowa. Ale najpierw dojechaliśmy do Szczecina. Wysiedliśmy z pociągu. Żołnierz powiedział nam, że zaraz jest pociąg w drugą stronę. Ojciec załatwił co trzeba i tak przyjechaliśmy do Rzeszowa. Zatrzymaliśmy się wszyscy tymczasowo u siostry ojca w Boguchwale, ale potem musiałyśmy się rozłączyć. Kuzynka wzięła najmłodszą z nas, bo dzieci jej umierały, więc miała łóżeczko. Tam ta mała miała wygody – kuzynka sama z mężem, mieszkali w rynku w Rzeszowie... A z nami starszymi było inaczej. My nie miałyśmy luksusów, żyłyśmy u biednych ciotek. Ja zostałam w Boguchwale, bo córka ciotki pracowała w fabryce porcelany i załatwiła mi tam pracę przy wyrabianiu izolatorów do elektryczności. Pracowałam tak razem z tą kuzynką. Z domu wychodziłyśmy razem do pracy i po pracy wracałyśmy razem do domu. Miałam wtedy tylko jedno ubranie. W tym, co miałam na sobie, jeszcze bardzo długo chodziłam. Materiał był twardy jak drelich, a kiedy próbowałam szcnotką uprać, wówczas po nasiąknięciu wodą robił się sztywny jak blacha.

Po jakimś czasie ojciec otrzymał gospodarkę i wtedy zabrał nas wszystkie do siebie. O gospodarstwo starał się przez cały czas od powrotu z zesłania. Najpierw pojechał na Zachód, skąd wysiedlono Niemców. Tam zachorował na malarię. Po powrocie mówił, że nawet dostał dobre gospodarstwo, takie że nie potrzeba było nawet z domu wychodzić, bo wszystko było na miejscu – woda, krany i piękne umeblowanie niemieckie. To wszystko mógł mieć dla siebie, ale mówił, że nigdy nie byłby pewny czy Niemcy po to nie wrócą. Po jakimś czasie znalazł tutaj, koło Przemyśla, po Ukraińcach, których wysiedlono na Ukrainę. Zamieszkał w Grochowcach. Gospodarkę trzeba było obejmować natychmiast, bo jeżeli nie było gospodarza, to wszystko od razu kradli na wszystkie strony. Ale wcześniej musiał przyjechać do Boguchwały, żeby dać nam znać, abyśmy się szykowały. Na ten czas poprosił kuzyna, żeby mu popilnował tej gospodarci. Później przyjechał drugi raz. Ja spakowałam się pierwsza i pierwsza pojechałam do Ojca. Siostry sprowadziły się nieco później, bo chodziły do szkoły i nie mogły tak od zaraz.

Rodzina ojca doradzała mu, żeby się ożenił, lecz on bardzo się bał, czy znajdzie matkę dla dzieci i sam wielką troską nas otaczał. Gdy znalazłyśmy się wszystkie pod jednym dachem był nam wszystkim – troskliwym ojcem i matką. Uczył nas wszystkiego. I tak pracując na tej gospodarce od 1947 roku powoli rozwijał ją. Do kościoła miałyśmy niedaleko, około jednego kilometra. Młodsze siostry uczyły się, a starsza Kazia wyszła za mąż w 1952 roku i przeniosła się do drugiej wioski. o dwa lata młodsza

ode mnie Zofia po szkole otrzymała już pracę w biurze i zamieszkała w Przemysłu. I tak zostałam przy ojcu z najmłodszą siostrą, Krysią, która chodziła jeszcze do szkoły.

Już przed wojną myślałam o wstąpieniu do zakonu i byłam na to zdecydowana także po wojnie. Powstrzymywała mnie tylko myśl, że nie mogę zostawić ojca samego. Na wspomnienie o klasztorze wszyscy mi odradzali. Ksiądz proboszcz i siostry zakonne mówili, że bez szkoły i posagu nikt mnie nie przyjmie. Ja jednak nie ustawałam w swoich dążeniach, wspierając się na modlitwie. Ta męka trwała tak około dwóch lat, lecz ufność w pomoc Bożą mnie nie opuszczała. Często czytałam Pismo Święte od początku do końca, głównie wieczorem przy lampie naftowej. Aż kiedyś przeczytałam u św. Mateusza, że kto dla imienia Jezusa zostawi wszystko, stokroć więcej otrzyma i życie wieczne odziedziczy. Uznałam, że nie będzie grzechem opuszczenie ojca, bo przecież w klasztorze będę się modliła za niego. Warunki tak się ułożyły na ten czas, że młodsza siostra, Zosia, poszukiwała sobie innej pracy i była w domu, więc ostatecznie mogłam ojca zostawić z dwoma siostrami na gospodarce. Wtedy poszłam do Karmelu zapytać, czy mnie przyjmą bez posagu i bez szkoły. Otrzymałam odpowiedź, że mogą mnie przyjąć nawet zaraz. Wróciłam jeszcze na krótko do domu, aby powiedzieć ojcu o swoich zamiarach. Za otrzymane od niego pieniądze kupiłam materiał na czarną sukienkę i na bieliznę osobistą. Siostra była krawcową, więc uszyła mi to wszystko, chociaż nie wierzyła, że ja tam długo wytrzymam...